

Conan i cienie w blasku

Howard Robert



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

CIENIE W BLASKU KSIEŻYCA

WSTĘP

Spśród ogromu literatury fantastycznej szczególnym powodzeniem cieszą się utwory w stylu fantasy, wywodzące swój rodowód od mitów, legend i poematów starożytnych ludów. Wydaje się, że ich popularność spowodowana jest wyraźnym pokrewieństwem ze światem baśni, a także stopniowym spadkiem zainteresowania fantastyką naukową utrzymaną w konwencji "hard", epatującą czytelnika drobiazgowymi, najczęściej quasi-naukowymi opisami zjawisk i technologii. Sprzyjają temu również tendencje eskapistyczne pojawiające się zawsze w okresach kryzysów, oraz wzmagające się rozczarowanie owocami postępu technicznego.

Brak jednoznacznej definicji stylu fantasy sprawia, że część krytyków kategorycznie zaprzecza istnieniu fantastyki baśniowej jako odrębnego podgatunku. Taką opinię wyraża na przykład Stanisław Lem w posłowie do wydanej ostatnio książki Ursuli K. Le Guin "Czarnoksiężnik z archipelagu". Chyląc czoła przed mistrzem uważam jednak, że można wyróżnić dwa podstawowe kryteria odróżniające fantastykę baśniową od reszty gatunku; drobiazgowo opracowane tło pseudohistoryczne, pseudoetnograficzne i pseudogeopolityczne oraz występowanie sił magicznych przy jednoczesnym braku zaawansowanych nauk i technologii. Wielbiciele trylogii J. R. R. Tolkiena z pewnością się ze mną zgodzą.

W Polsce ukazało się niewiele pozycji reprezentujących styl fantasy. Wspominana już książka Ursuli K. Le Guin razem z jej uprzednio wydanym zbiorem opowiadań pt. "Wszystkie strony świata" oraz trzy dzieła J. R. R. Tolkiena ("Hobbit, czyli tam i z powrotem", "Władca pierścieni", "Rudy Dżil i jego pies" - przy czym ostatnia pozycja nie jest już fantasy sensu stricto) zamykają listę. Paru innych autorów znanych jest polskiemu czytelnikowi z krótkich opowiadań drukowanych w różnych periodykach (np. Andre Norton, Henry Kuttner) i fragmentarycznych wzmianek krytyki. Miesięcznik "Fantastyka" wydał numer poświęcony fantastyce baśniowej. Jak do tej pory jednak nazwiska czołowych przedstawicieli gatunku, poczynając od pionierów - Williama Morrisa, Lorda Dunsana i Erica R. Eddisona, po twórców późniejszych - R. E. Howarda, C. A. Smitha, C. L. Moore, L. S. de Campa i M. Moorcocka, nie są znane ogółowi czytelników w naszym kraju.

Obecnie prezentujemy wielbicielom świata "Miecza i Magii" niezwykle popularnego na Zachodzie bohatera - Conana, stworzonego przez amerykańskiego pisarza R. E. Howarda. Robert Ervin Howard (1906-1936) napisał kilka serii powieści w stylu fantasy, z których najdłuższą i cieszącą się największym powodzeniem jest seria obejmująca opowieści o Conanie. Za życia Howarda opublikowano 18 utworów, których bohaterem był Conan - 8 innych w różnym stopniu zaawansowania odkryto w papierach pisarza po jego śmierci.

Rozpoczynając serię opowiadań o Conanie, Howard skonstruował własną wizję świata, w którym umieścił bohatera, drobiazgowo opracowując tło swych utworów w eseju "The Hyborian Age". Pisząc kolejne części sagi, Howard opierał się na wymyślonych przez siebie faktach z żelazną konsekwencją, cechującą, jak twierdził: "każdego dobrego pisarza powieści historycznych". Właśnie te solidne podstawy świata sprawiają, że przygody Conana są wciąż interesującą lekturą - podobnie jak zaliczane do klasyki utwory Tolkiena. Tym, których oburzy zestawienie nazwisk obu pisarzy przypomnę tylko, że "Władca pierścieni" Tolkiena powstał w latach 1936 - 1943, a "Hobbit..." w roku 1937, a więc wtedy, gdy Howard już nie żył.

Akcja opowiadań składających się na sagę o Conan toczy się na Ziemi około 12 tysięcy lat temu. W tym czasie (wg Howarda) zachodnie części głównego kontynentu Wschodniej Półkuli zajmowały królestwa hyboriańskie, założone 3 tysiące lat wcześniej na ruinach imperium zła - Acheronu przez Hyborian, najeźdźców z północy. Na południe od królestw hyboriańskich leżały kłótniwe miasta - państwa Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii; rywal i partner Acheronu w krwawych dniach jego chwały. Jeszcze dalej na południe, za pustyniami i sawannami leżały barbarzyńskie Czarne Królestwa. Na północ od Hyborii ciągnęły się surowe ziemie Cymmerii, Hyperborei, Asgardu i Vanaheim. Na zachodzie, wzdłuż wybrzeży oceanu, zamieszkiwali dzicy Piktowie, a na wschodzie błyszcząły bogate królestwa hyrkaniańskie, z których najpotężniejszym był Turan. Conan był barbarzyńskim awanturnikiem urodzonym w Cymmerii - północnej krainie poszarpanych skał i pustego nieba. Po ojcu kowalu odziedziczył herculesową siłę i posturę. Już jako piętnastoletni chłopiec bierze udział w plądrowaniu Venarium, aguilońskiego posterunku granicznego. W rok później przyłącza się do oddziału Esirów i zostaje schwytany przez Hyperborejów podczas grabieżczej wyprawy na ich ziemie. Ucieka z niewoli i wędruje na północ, do królestwa Zamory. Przez kilka lat wiecie tam i w przyległych królestwach Koryncji i Nemedii ryzykowny żywot złodzieja. Nienawykły do cywilizacji i samowolny z natury, wrodzonym sprytem i siłą nadrabia braki w edukacji. Zmęczony głodową egzystencją zaciąga się jako najemnik w szeregi armii Turanu. Przez następne dwa lata odbywa liczne podróże daleko na wschód, do legendarnych ziem Meru i Khitanu. Po wielu perypetiach wynajmuje swoje żołnierskie usługi kolejnym państwom hyboriańskim. Zmuszony do ucieczki z Argos staje się piratem u wybrzeży Kush razem z shemicką kobietą-piratem, Belit. Tam zdobywa sobie imię Amra-Lew. Po utracie Belit Conan znów powraca do żołnierskiego rzemiosła - tym razem w Shemie i przyległych państwach. Później przeżywa przygody wśród wyjętych spod prawa jeźdźców wschodnich stepów, wśród piratów na Morzu Vilayet, wśród górskich szczepów zamieszkujących Góry Himeliańskie na granicach Iranistanu i Vendhyi (znów następny okres żołnierski w Koth i Argos, po którym zostaje najpierw piratem na wyspach Baracha, później kapitanem zingarańskich bukanierów... itd., itd.). Pełna saga o Conanie liczy ponad dwadzieścia tomów i nie sposób w tym miejscu choćby pobieżnie streścić jego burzliwy żywot.

Pirat i wierny żołnierz - hulaka, niezwycięzony w boju, szlachetny wobec słabszych, wrażliwy na blask złota i kobiece wdzięki, nieustraszony Conan brnie przez potoki krwi zwyciężając ludzi, potwory i podstępnych czarowników, by w końcu zostać królem potężnego państwa - Aguilonii.

Okolo 500 lat po czasach Conana Wielkiego, większość królestw Ery Hyboriańskiej zmyła fala najazdu barbarzyńców. Przez kilkaset następnych lat Ziemię zamieszkiwały nieliczne, wędrownie plemiona wiecznie walczących ze sobą koczowników. Później resztki cywilizacji zostały starte przez ostatni pochód lodowców i potężne wstrząsy tektoniczne. Wtedy właśnie powstało Morze Śródziemne i Morze Północne, wielkie Morze Vilayet zmniejszyło się do rozmiarów dzisiejszego Morza Kaspijskiego, a z fal Atlantyku wynurzyły się rozległe obszary Afryki Zachodniej. Ludzkość stoczyła się do poziomu prymitywnych dzikusów. Po cofnięciu się lodowca cywilizacja znów zaczęła się rozwijać osiągając stan dzisiejszy.

Zapraszam wszystkich do hyboriańskiego świata i życzę przyjemnej lektury!

Poznań, grudzień 1989 r. Zbigniew A. Królicki

(Shadows in the Moonlight)

Duma nie pozwoliła Conanowi być “mężem swojej żony”, choćby nawet była nią piękna i namiętna królowa. Po pewnym czasie barbarzyńca zmyka chyłkiem z Khoraji i udaje się do Cymmerii, szukać zemsty na odwiecznych wrogach, Hyperborejczykach.

Ma już prawie trzydzieści lat. Jego dawni druhowie z Cymmerii i Aesiru pojęli żony i spłodzili synów; niektórzy z ich potomków mają teraz tyle lat, ile miał Conan, gdy po raz pierwszy ruszył w świat. Lecz żywot pirata i najemnego żołnierza rozbudził w duszy Cymmerianina zbyt wielką żądzę przygód, by miał pójść za ich przykładem. Kiedy kupcy przynoszą wieści o nowych wojnach toczących się na południu, Conan wraca bez chwili namysłu.

Zbuntowany książę Koth usiłuje zrzucić z tronu Strabonusa, skąpego władcę tego rozległego kraju. Conan wstępuje w szeregi buntowników. Niestety, książę zawiera pokój z królem i żołnierze zostają bez zajęcia. Cześć najemników, a wśród nich Conan, przeistacza się w bandę wyjętych spod prawa rabusiów - Wolnych Towarzyszy, którzy niepokoją zarówno granice Koth, jak i Zamory czy Turanu. Stopniowo posuwają się na wschód, by w końcu połączyć się ze zgrają obwiesiów zwanych kozakami znad Morza Vilayet.

Conan szybko zdobywa przywództwo nad tą zgrają i zaczyna pustoszyć zachodnie granice turańskiego imperium, lecz jego dawny pracodawca, król Yildiz, odpowiada taktyką zmasowanego odwetu. Armia pod wodzą Szacha Amurata wciąga kozaków w głąb turańskiego terytorium i rozbija ich w krwawej bitwie nad rzeką Ilbars.

Nagły trzask tratowanych kopytami trzciny; głuchy odgłos upadku i krzyk rozpacz. Smukła dziewczyna w sandałach i tunice przepasanej szarfą chwiejnie podniosła się z ziemi i stanęła obok zdychającego wierzchowca. Czarne włosy opadały gęstą falą na białe ramiona dziewczyny; jej oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Nie zwracała uwagi na gąszcz trzciny otaczających małą polankę, ani na błękitne wody omywające niski brzeg za jej plecami. Szeroko otwartymi oczyma aż do bólu wpatrywała się w człowieka, który wyłonił się spośród trzciny i niespiesznie zsiadł z konia.

Był to wysoki mężczyzna, szczupły, lecz żylasty. Od stóp do głów okrywała go stalowa, posrebrzana kolczuga, która opinała jego zwinną postać jak rękawiczka. Spod kopulastego, inkrustowanego złotem hełmu drwiąco spoglądały brązowe oczy.

- Nie zbliżaj się! - krzyknęła głosem zduszonym z przerażenia. - Nie dotykaj mnie, Amuracie, albo rzucę się do rzeki i utonę!

Zaśmiał się śmiechem przypominającym syk ostrza wydobywanego z jedwabnej pochwy.

- Nie, nie utoniesz, Oliwio; przy brzegu jest płytko i złapię cię zanim dotrzesz na głębiny. Na bogów, to była wspaniała pogoń i moi ludzie zostali daleko za nami. Jednak żaden koń po tej stronie Vilayet nie zdoła prześcignąć Irema.

Ruchem głowy wskazał dużego, smukłonego ogiera.

- Zostaw mnie! - błagała dziewczyna z twarzą zalaną łzami rozpacz. - Czyż już nie dość wycierpiałam? Czy jest jakieś upokorzenie, ból czy poniżenie, jakiego nie zaznałam? Jak długo mają trwać te męki?

- Tak długo jak długo znajduję przyjemność w twoich jękach, błaganiach, łzach i krzykach - odparł z uśmiechem, który wydałby się miły komuś, kto go nie znał. - Masz w sobie niezwykłą żywotność, Oliwio. Nie wiem, czy kiedykolwiek znudzisz mi się tak, jak nudziły mi się inne kobiety. Jesteś zawsze świeża i czysta, mimo wszystko. Każdy dzień z tobą sprawia mi prawdziwą przyjemność. No, chodź - wracamy do Akif, gdzie lud wciąż fetuje zwycięzcę tych nędznych kozaków, podczas gdy sam zwycięzca ugania się za zbiegłą, głupią, śliczną idiotką!

- Nie! - dziewczyna odskoczyła i rzuciła się w kierunku błękitnych wód omywających przybrzeżne trzciny.

- Tak! - wybuchnął gniewem tak nagłym, jak skrzęsana krzemieniem iskra. Z niewiarygodną szybkością chwycił dziewczynę i z zimnym okrucieństwem wykręcił jej rękę, aż krzyknęła i upadła na kolana.

- Ty dziwko! Powinienem cię powlec do Akif uwiązaną do końskiego ogona, ale będę litościwy i posadzę cię w siodle, za którą to łaskę podziękujesz mi pokornie, kiedy...

Puścił ją ze zduszonym przekleństwem i odskoczył, błyskawicznie wrywając z pochwy szablę, gdy z gąszczu trzciny wyłoniła się olbrzymia postać. Siedząca na ziemi Oliwia zobaczyła człowieka, którego uznała za dzikusa lub szaleńca, ze straszliwym rozmysłem zbliżającego się do Szacha Amurata. Obcy był potężnym mężczyzną odzianym jedynie w przepaskę zbroczoną krwią i pokrytą zaschniętym błotem. Jego czarna grzywa też była zlepiona mułem i krwią; czarne strumyki znaczyły jego szeroką pierś, zastępywały na ostrzu długiego miecza, który dzierżył w prawej dłoni. Nabiegłe krwią oczy jarzyły mu się pod gęstymi brwiami jak rozżarzone węgle.

- Hyrkański psie! - warknął nieznajomy z barbarzyńskim akcentem. – Chyba przywiodły cię tu demony zemsty!

- Kozak! - krzyknął Szach Amurat cofając się o krok. – Nie spodziewałem się, że choć jeden z was uszedł! Myślałem, że wszyscy leżycie w stepie nad rzeką Ilbars!

- Wszyscy prócz mnie, psie! - krzyknął kozak. - Och, marzyłem o takim spotkaniu, gdy czołgałem się wśród cierni lub leżałem pod skałami żywcem pożerany przez mrówki, albo kryłem się po szyję w błocie... Marzyłem, ale nie sądziłem, że do niego dojdzie. Och, bogowie Piekła, jakże tego pragnąłem!

Wojownik z trudem powstrzymał wybuch straszliwego śmiechu: Spazmatycznie zacisnął szczękę i piana pojawiła się na jego poczerwiałych wargach.

- Nie podchodź! - ostrzegł Szach Amurat, patrząc nań zwężonymi oczyma.

- Ha! - warknął barbarzyńca jak wygłodniały wilk. – Szach Amurat, wielki pan Akif! Jak dobrze, że cię widzę, przeklęty - ciebie, który zostawiłeś moich towarzyszy na żer sępom, który rozrywałeś ich końmi, wyłupiałeś oczy i uciniałeś ręce! Psie, nędzny psie!

Ostatnie słowa niemal wyrzeszczał i jeszcze nim skończył, rzucił się z furią na znenawidzonego Hyrkańczyka.

Mimo przerażenia, jakie budził w niej okropny wygląd nieznajomego, Oliwia patrzyła z zapartym tchem, spodziewając się, że walka rozstrzygnie się przy pierwszym starciu. Szaleniec czy dzikus, cóż mógł zdziałać, nagi, przeciwko okrytemu kolczugą wodzowi z Akif?

Ostrza błysnęły i związały się na moment; wydawało się, że ledwie się dotknęły i odskoczyły od siebie; później szeroki miecz ominął zastawę przeciwnika i ze straszliwą siłą spadł na jego bark. Oliwia wydała mimowolny okrzyk. Przez chrzęst pękającej zbroi wyraźnie usłyszała trzask rozcinanych kości. Hyrkańczyk zatoczył się z nagle poszarzałą twarzą i krew trysnęła mu przez ogniwa kolczugi. Szabla wypadła mu z pozbawionych czucia palców.

- Łaski! - jęknął.

- Łaski? - wykrzyknął tamten głosem drżącym z wściekłości. - Tyle łaski ile ty miałeś dla nas, wieprzu!

Oliwia zamknęła oczy. To już nie była walka lecz krwawe jatki, histeryczny wybuch wściekłości i

nienawiści spotęgowanej grozą bitwy, widokiem masakry i tortur, głodem, pragnieniem i rozpaczą. Oliwia wiedziała, że Szach Amurat nie zasłużył na litość, ale zamknęła oczy i zatkała uszy rękami, żeby nie widzieć unoszącego się i opadającego ostrza, nie słyszeć odgłosu ciosów i bulgoczących krzyków, które cichły z wolna, aż wreszcie ustały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nieznajomy odchodzi od okrwawionych szczątków słabo przypominających ludzką istotę. Pierś mężczyzny unosiła się w ciężkim oddechu wywołanym wysiłkiem i wzburzeniem; na jego czole perlił się pot, a prawa ręka ociekała krwią.

Nie odezwał się do Oliwii; nawet na nią nie spojrział. Zobaczyła, jak wchodzi między trzciny rosnące na brzegu, pochyła się i sięga po coś. Z szuwarów wysunęła się ukryta tam łódź. Dziewczyna pojęła zamiary nieznajomego i zerwała się na równe nogi.

- Och, zaczekaj! - jęknęła i chwiejnie podbiegła do mężczyzny. – Nie zostawiaj mnie tu! Weź mnie ze sobą!

Okręcił się na pięcie i spojrział na Oliwię. W jego twarzy zaszła zmiana. Z nabiegłych krwią oczu zniknął opar szaleństwa. Wydawało się, że krew, którą właśnie przelał, ugasiła pożar jego zmysłów.

- Kim jesteś? - spytał.

- Mam na imię Oliwia. Byłam jego niewolnicą. Uciekłam. Ścigał mnie. To dlatego tu jestem. Jego wojownicy są niedaleko. Znajdą trupa... i mnie przy nim... och! – jęknęła z przerażenia i załamała białe ramiona.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Wolisz popłynąć ze mną?- zapytał. - Jestem barbarzyńcą i widzę, że się mnie boisz.

- Tak, boję się - odparła, zbyt zaskoczona, żeby zaprzeczać. - Patrząc na ciebie dostaję gęsiej skórki. Jednak bardziej obawiam się Hyrkańczyków. Och, pozwól mi płynąć z tobą! Jeżeli znajdą mnie obok zwłok Amurata wezmą mnie na tortury!

- Zatem chodź.

Odsunął się na bok i Oliwia szybko wsiadła do łódki, usilnie starając się nawet o niego nie otrzeć. Usadowiła się na dziobie. Nieznajomy wszedł do łodzi, odepchnął się od brzegu wiosłem i posługując się nim jak pagajem mozolnie torował sobie drogę wśród wysokich trzciny, aż wypłynęli na otwartą wodę. Wtedy zaczął wiosłować obydwojma wiosłami. Długimi, równymi pociągnięciami popychał łódź naprzód; potężne mięśnie jego barów i ramion napinały się i rozluźniały rytmicznie.

Przez jakiś czas panowało milczenie; dziewczyna kuliała się na dziobie, mężczyzna wiosłował. Obserwowała go z lękliwą fascynacją. Nie ulegało wątpliwości, że nie był Hyrkańczykiem; nie przypominał też przedstawiciela żadnej ze znanych jej hyboriańskich ras. Miał w sobie jakąś nieuchwytną dzikość, zdradzającą barbarzyńskie pochodzenie. Mimo śladów, jakie pozostawiły na jego twarzy trudy bitwy i ucieczki przez bagna, jego rysy wciąż wyrażały chłodny, posępny upór; nie

była to twarz złoczyńcy czy degenerata.

- Kim jesteś? - spytała. - Szach Amurat nazwał cię kozakiem. Należałeś do nich?

- Jestem Conan z Cymmerii - mrukną. - Byłem jednym z kozaków, jak nazywają nas te hyrkańskie psy.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że jego ojczyzna leży gdzieś daleko na północy, za najdalej wysuniętymi przyczółkami cywilizacji.

- Ja jestem córką króla Ophiru - powiedziała. - Ojciec sprzedał mnie shemickiemu wodzowi, ponieważ nie chciałam poślubić księcia Koth.

Cymmerianin mruknął coś ze zdziwieniem i wargi dziewczyny skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Tak, cywilizowani ludzie czasem sprzedają swoje dzieci dzikusom. Twój lud nazywają barbarzyńcami. Cymmerianinie...

- My nie sprzedajemy naszych dzieci - warknął, wysuwając podbródek.

- No, mnie sprzedano. Jednak wódz nomadów nie uczynił mi krzywdy. Chciał zaskarbić sobie łaski Szacha Amurata. Byłam jednym z darów, jakie przywiózł mu do Akif – miasta purpurowych ogrodów. Potem... - zadrżała i ukryła twarz w dłoniach.

- Powinam już zapomnieć co to wstyd - powiedziała w końcu. - A jednak każde wspomnienie pali mnie jak cios bata. Przebywałam w pałacu Szacha Amurata, kiedy, kilka tygodni temu, wyruszył ze swoją jazdą, aby walczyć z bandą najeźdźców, którzy naruszyli granice Turanu. Wczoraj wrócił i wydano na jego cześć wielką fetę. Wśród ogólnego pijaństwa i zamieszania znalazłam sposobność, by wydostać się z miasta na skradzionym koniu. Chciałam uciec - ale on ruszył w pościg i w końcu mnie dogonił. Zostawiłam w tyle jego ludzi, ale jemu nie zdołałam ujsć. Potem ty się zjawiłeś.

- Leżałem ukryty w trzcinach - mruknął barbarzyńca. - Byłem jednym z tych rozpuszczonych obwiesiów, Wolnych Towarzyszy, którzy palili i plądrowali pogranicze. Było nas pięć tysięcy, mieszanina wielu ras i szczepów. Służyliśmy jako najemnicy zbuntowanego księcia Wschodniego Koth - przynajmniej większość z nas - i kiedy zawarł pokój ze swym parszywym władcą, zostaliśmy bez pracy. Zaczęliśmy grabić nadgraniczne prowincje Koth, Zamory i Turanu - po równi. Tydzień temu Szach Amurat ze swymi piętnastoma tysiącami jazdy wciągnął nas w pułapkę nad rzeką Ilbars. Mitro! Niebo było czarne od sępów. Kiedy po całym dniu walki nasze szyki pękły, jedni próbowali przedrzeć się na północ, inni na zachód. Wątpię, by ktokolwiek uszedł. Stepy roily się od jeźdźców, ścigających i uciekających. Ja ruszyłem na wschód i w końcu dotarłem do bagien otaczających tu Morze Vilayet. Od tego czasu kryłem się na mokradłach. Dopiero przedwczoraj jezdni przestali przetrząsać szuwary w poszukiwaniu takich maruderów jak ja. Czołgałem się, kryłem i przemykałem jak wąż, żywiąc się złapanymi piźmowcami, które z konieczności zjadałem na surowo. Dziś rano znalazłem tę łódź ukrytą wśród szuwarów. Przed zmrokiem nie miałem zamiaru wypływać na morze, ale kiedy spotkałem Szacha Amurata, wiedziałem, że jego zbrojni są niedaleko.

- I co teraz?

- Niewątpliwie będą nas ścigać. Jeżeli nie znajdą śladów pozostawionych przez łódź, które zatarłem jak mogłem, to i tak domyśla się, że wypłynęliśmy na morze, kiedy nie uda im się nas znaleźć w trzcinach. Jednak zostawiliśmy ich w tyle i zamierzam wiosłować bez przerwy, aż dotrzemy w bezpieczne miejsce.

- Tylko gdzie je znajdziemy? - spytała bezradnie. – Vilayet to hyrkański staw.

- Nie wszyscy tak uważają - ponuro uśmiechnął się Cymmerianin. - A szczególnie niewolnicy, którzy zbiegli z galer i zostali piratami.

- Co zrobimy?

Południowo-zachodni brzeg jest na przestrzeni setek mil opanowany przez Hyrkanian. Musimy przebyć długą drogę zanim miniemy ich najdalej wysunięte posterunki. Zamierzam popłynąć na północ, aż do chwili gdy je miniemy; wtedy skierujemy się na zachód i spróbujemy wylądować na brzegu nie zamieszkanego stepu.

- A jeżeli napotkamy piratów, albo sztorm? - spytała Oliwia. - A na stepach możemy umrzeć z głodu...

- No - przypomniał jej - wcale nie prosiłem, żebyś ze mną płynęła.

- Przepraszam - pochyliła kształtną, ciemną główkę. - Piraci, sztormy, głód - wszystko lepsze niż Turańczycy.

- Taak - jego smagła twarz zachmurzyła się. – Jeszcze z nimi nie skończyłem. Odpręż się, dziewczyno. O tej porze roku sztormy są niezwykle rzadko. Jeżeli dotrzemy do stepów, nie zginiemy z głodu. Wyrosłem w takiej nagiej ziemi. Te przekłete bagna ze swym smrodem i komarami prawie mnie wykończyły. Na wyżynach dam sobie radę. A jeżeli chodzi o piratów... - uśmiechnął się dziwnie i znów pochylił się nad wiosłami.

Słońce zachodziło jak matowo błyszczący miedziak wpadający w jezioro ognia. Błękit morza stopił się z błękitem nieba tworząc miękki, czarny aksamit usiany gwiazdami i ich lustrzanymi odbiciami. Wyciągnięta na dziobie łodzi Oliwia pogrążyła się w sennych marzeniach. Łódź kołysała się lekko na wodzie i dziewczyna miała wrażenie, że płynie w powietrzu, a gwiazdy świecą zarówno nad nią, jak i pod nią. Jej milczący towarzysz był niemal niewidoczny w ciemnościach. Ani na chwilę nie zwalniał tempa wiosłowania; wiózł ją niczym mityczny przewoźnik przez czarne jezioro śmierci. Strach opuścił dziewczynę; ukołysana monotonnym ruchem dziewczyna zapadła w sen.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy obudziła się czując skręcający wewnątrz głód. Przebudził ją nagły brak ruchu. Conan przestał wiosłować i opierając się na wiosłach patrzył gdzieś w dal. Oliwia zdała sobie sprawę, że musiał wiosłować przez całą noc bez przerwy i podziwiała jego żelazną wytrzymałość. Obróciła głowę i patrząc za jego spojrzeniem ujrzała zieloną ścianę drzew i krzewów wznoszącą się na skraju wody i szerokim łukiem otaczającą małą zatokę o wodzie gładkiej

jak błękitne szkło.

- To jedna z wielu wysp, jakimi jest usiane to morze – rzekł Cymmerianin. - Podobno są nie zamieszkane. Słyszałem, że Hyrkańczycy rzadko je odwiedzają. Ponadto ich galery zwykle trzymają się przy brzegu, a my przebyliśmy już długą drogę. Przed zmrokiem powinniśmy schować się w trzcinach.

Kilkoma uderzeniami wiosła skierował łódź do brzegu i przycumował ją do sterczącego kamienia, który leżał tuż przy linii wody. Wyszedłszy na brzeg wyciągnął rękę, aby pomóc Oliwii. Przyjęła podaną dłoń, drżąc na widok zaschniętej na niej krwi, czując potworną siłę drżącą w mięśniach barbarzyńcy.

W otaczającym zatoczkę lesie panowała senna cisza. Gdzieś daleko wśród drzew jakiś ptak zanucił swą poranną pieśń. Lekki wietrzyk poruszył liście, wprawiając je w drzenie. Oliwia stwierdziła, że bacznie nasłuchuje, choć nie wiedziała czego. Co mogła kryć ta nieprzebyta gęstwina?

Zerkając lękliwie w cień między drzewami zobaczyła coś, co śmignęło w powietrzu z cichym łopotem skrzydeł; wielka papuga usiadła na liściastej gałęzi i kołysała się na niej niczym barwna figurka z nefrytu i purpury. Przechyliła na bok zwieńczony pióropuszem łeb i spoglądała na przybyszów błyszczącymi paciorkami czarnych oczu.

- Na Croma! - mruknął Cymmerianin. - To chyba prababka wszystkich papug. Ma chyba z tysiąc lat! Spójrz, jak mądrze wygląda. Jakich strzeżesz tajemnic, Chytra Wiedźmo?

Ptak rozłożył nagle kolorowe skrzydła i uniósłszy się na gałęzi, wrzasnął ochryple:

- Yagkoolan yok tha xuthalla!

I zakończywszy to wybuchem przeraźliwie ludzkiego śmiechu pomknął między drzewa i zniknął w głębokich ciemnościach.

Oliwia spojrzała w ślad za papugą, czując przebiegający po plecach zimny dreszcz niepokojącego przeczucia.

- Co powiedziała?

- Przysiągłbym, że to jakieś słowa - odparł Conan – ale nie mam pojęcia w jakim języku.

- Ja też nie - rzekła dziewczyna. - A jednak ptak musiał je usłyszeć z ludzkich ust. Ludzkich lub... - zerknęła na leśną gęstwinę i wzdrygnęła się, nie wiedząc dlaczego.

- Na Croma, jestem głodny! - mruknął Conan. – Mógłbym zjeść bawołu. Poszukamy jakichś owoców; jednak najpierw mam zamiar obmyć się z błota i zaschniętej krwi. Ucieczka przez bagna to niezbyt czyste zajęcie.

To rzekłszy odłożył miecz i zanurzony w wodzie rozpoczął ablucje. Kiedy się wynurzył, jego zbrązowiałe od słońca ciało lśniło jak polerowany brąz; grzywa czarnych, długich

włosów opadała mu na ramiona. Błękitne oczy, chociaż wciąż jarzyły się ogniem, nie były już tak posępne i nabiegłe krwią. Tylko kocia zwinność jego ruchów i posępny wyraz twarzy pozostały bez zmian.

Przypasawszy z powrotem miecz, gestem nakazał dziewczynie, aby za nim szła. Razem weszli między drzewa. Szli pod łukami konarów, po wyściełającej ziemię, miękkiej murawie. Zwisające z drzew pnącza nadawały otoczeniu baśniowy wygląd.

Conan mruknął coś z zadowoleniem na widok złotych i rdzawych kul gęsto wiszących wśród listowia. Pokazawszy dziewczynie, by siadła na zwałonym pniu, szybko napełnił jej podolek egzotycznymi owocami i sam też z apetytem zabrał się do jedzenia.

- Na Isztar! - rzekł między jednym a drugim kęsem. – Od Ilbars żywiłem się szczurami i korzeniami wykopanymi z cuchnącego błota. Te owoce są chociaż smaczne, mimo że niezbyt sycące. Jednak wystarczą nam, jeżeli zjemy wystar czająco dużo.

Oliwia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć. Kiedy Cymmerianin nasycił pierwszy głód, zaczął z większym niż do tej pory zainteresowaniem spoglądać na swoją towarzyszkę, podziwiając gęste pukle kruczoczarnych włosów, brzoskwiniovą cerę i pełne kształty podkreślone przez kusą tunikę.

Skończywszy posiłek, obiekt jego badań podniósł wzrok i napotkawszy pałace, baczne spojrzenie barbarzyńcy, zaczerwienił się raptownie i wypuścił z ręki na pół ogryziony owoc.

Conan bez komentarza pokazał dziewczynie gestem, że muszą iść dalej. Oliwia podniosła się i wyszła za nim na polankę, której odległy koniec porastały gęste zarośla. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, w krzakach rozległ się głośny trzask i Conan ledwie zdążył odskoczyć pociągając za sobą dziewczynę, gdy coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło w pień pobliskiego drzewa.

Błyskawicznie wyrwawszy miecz z pochwy Cymmerianin skoczył na polankę i wpadł w zarośla. Zapadła cisza. Przerażona i oszołomiona Oliwia kuliła się w trawie. Po chwili Conan wyłonił się z krzaków z groźnie zmarszczonymi brwiami i zdziwieniem na twarzy.

- Nikogo tam nie ma - burknął. - A jednak ktoś musiał rzucić ten kamień.

Obejrzał pocisk, który przeleciał mu nad głową, i mruknął coś z niedowierzaniem. Wielki, regularnie ociosany blok zielonego kamienia strzaskał pień drzewa i upadł na murawę.

- Dziwny kamień jak na taką nie zamieszkaną wyspę - rzekł.

Oliwia szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Głaz był symetrycznie ociosany, niewątpliwie wycięty i obrobiony ludzką ręką, i zdumiewająco ciężki. Cymmerianin chwycił go oburącz, po czym stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach i, naprężywszy mięśnie barków i ramion, podniósł nad głowę i cisnął z całej siły. Głaz upadł zaledwie kilka kroków dalej i Conan zaklął.

- Żaden człowiek nie zdołałby przerzucić tego głazu przez polankę. Potrzebowałby chyba maszyny obłętniejszej. A przecież nie ma tu balist ani katapult.

- Może wypuszczono go z takiej maszyny stojącej gdzieś dalej? - poddała myśl Oliwia.

Potrząsnął głową.

- Głaz nie spadł z góry. Rzucono go z tamtych zarośli. Widzisz te połamane gałązki? Ktoś rzucił tym głazem jak dziecko kamieniem. Tylko kto? Chodźmy stąd!

Dziewczyna niechętnie poszła za nim. Za pierwszym rzędem krzaków poszycie było mniej gęste. Wszędzie panowała głucha cisza. Na sprężystej murawie nie pozostał żaden ślad. A jednak to stąd jakaś tajemnicza istota cisnęła głazem, bez słowa i ze straszliwą siłą. Conan pochylił się nad murawą, szukając śladów. Po chwili ze złością potrząsnął głową. Nawet jego wyostrzony wzrok nie zdołał odnaleźć żadnych śladów, które zdradziłyby, kto tu stał i zniknął po nieudanym ataku. Cymmerianin podniósł głowę i spojrział na zielone sklepienie liści i splecionych ze sobą gałęzi. Nagle barbarzyńca drgnął, wyprostował się i nie odrywając oczu od zielonej gęstwiny zaczął się cofać, popychając przed sobą Oliwię.

- Chodźmy stąd, szybko! - ponaglał ją szeptem. - Co takiego? Co zobaczyłeś?

- Nic - odparł cicho, nie przestając rozglądać się czujnie.

- Powiedz mi, co to było? Kto krył się w tych krzakach?

- Śmierć! - odparł wpatrując się w półmrok zasłaniają cych niebo nefrytowych arkad.

Kiedy wydostali się z zarośli, barbarzyńca złapał dziewczynę za rękę i szybko poprowadził między rzadziejymi drzewami, aż wspięli się na trawiaste, słabo porośnięte zbocze i znaleźli się na niskim płaskowyżu, gdzie trawa była wysoka, a drzewa nieliczne i karłowate. Na środku płaskowyżu wznosiła się długa, szeroka budowla z rozsypujących się, zielonych bloków kamienia.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Żadne legendy nie wspominały o istnieniu takiej budowli na którejś z wysp Morza Vilayet. Podeszli ostrożnie, spoglądając na mech i porosty pełzające po kamieniach, na zapadnięty, ziejący czernią dach. Wszędzie leżały kawałki i okruchy kamiennych bloków, na pół ukryte w falującej trawie, sprawiające wrażenie, że niegdyś wznosiło się tu wiele budynków, może nawet całe miasto. Jednak teraz na płaskowyżu ostała się tylko bryła długiego budynku o pijacko chwiejących się ścianach oplecionych pnączami winorośli.

Jeżeli kiedyś w portalu były drzwi, to musiały dawno już spróchnieć. Conan i jego towarzyska stanęli w szerokim hallu i zajrzeli do środka. Słoneczny blask sączył się przez dziury w ścianach i dachu wypełniając mroczne wnętrza grą światła i cieni. Mocno ściskając miecz, Conan kocim krokiem wszedł do środka bacznie rozglądając się na boki. Oliwia podreptała za nim.

Znalazłszy się w środku Conan mruknął coś pod nosem, a Oliwia wydała zduszony okrzyk zdziwienia:

- Popatrz! Och, popatrz!

- Widzę - odparł. - Nie ma się czego bać. To posągi.

- Wyglądają jak żywe... i są takie okropne! - szepnęła przysuwając się do barbarzyńcy.

Byli w ogromnej sali, której gładką posadzkę zasłał gruby dywan kurzu i kawałki osypujących się z sufitu kamieni. Wyrastająca spomiędzy gładów winorośl zasłaniała gęstą kurtyną otwory w ścianach. Wyniosłe sklepienie, płaskie i pozbawione ozdób, podpierały grube kolumny ciągnące się rzędami wzdłuż ścian. I wszędzie wokół stały dziwne posągi.

Były to żelazne figury, czarne i lśniące, jakby ustawicznie odkurzone, przedstawiające szczupłych, lecz silnie zbudowanych, mężczyzn o orlich, okrutnych twarzach. Posągi miały naturalną wielkość i każdą wypukłość, wklęśnięcie, mięsień czy ścięgno oddano z niezwykłym realizmem. Jednak najbardziej ożywioną częścią każdego z nich była dumna, nieugięta twarz. Różniły się od siebie. Każda twarz miała swoje indywidualne cechy, chociaż wszystkie łączyło pewne podobieństwo. Trudno było jednak mówić o jednostajności.

- One wydają się słuchać... i czekać! - szepnęła niespokojnie dziewczyna.

Conan postukał ręką ręką miecza w jeden z posągów.

- Żelazny - stwierdził. - Na Croma! Z jakich to form ich odlano!

Potrząsnął głową z podziwem i wzruszył ramionami. Oliwia nieśmiało rozejrzała się po wielkiej, cichej sali. Dostrzegła tylko porośnięte bluszczem kamienie, oplecione winoroślą filary i ponuro spoglądające na nią posągi. Zadrżała i zapragnęła znaleźć się jak najdalej stąd; lecz jej towarzysza najwyraźniej zafascynowały żelazne figury; przyglądał im się niezwykle dokładnie i - jak typowy barbarzyńca - próbował odłamać jednej z nich ramię. Jednak metal oparł się wszystkim jego wysiłkom. Nie zdołał uszkodzić posągu, ani wypchnąć go z niszy, w której stał. W końcu zrezygnował, klnąc z podziwem.

- Cóż to za ludzi przedstawiają te posągi? - rzucił w przestrzeń pytanie. - Są czarni, ale zupełnie niepodobni do Negrów. Nigdy nie widziałem takich ludzi.

- Chodźmy stąd - nalegała Oliwia i barbarzyńca przystał na to, obrzuciwszy jeszcze raz zdziwionym spojrzeniem stojące pod ścianami postacie.

Wyszli z mrocznej sali na jasne światło dnia. Oliwia ze zdumieniem stwierdziła, że słońce stało już wysoko na niebie; spędzili w ruinach więcej czasu niż sądziła.

- Wracajmy do łodzi - zaproponowała. - Boję się. To dziwne, niesamowite miejsce. W każdej chwili może nas znowu zaatakować to coś, co cisnęło w nas kamieniem.

- Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni tak długo, jak długo nie wejdziemy między drzewa - odparł. - Chodź!

Od wschodu, zachodu i południa płaskowyż wznosił się nad porastającą brzeg wyspy dżunglą; na północy był zamknięty skałami tworzącymi najwyższy punkt wyspy. Tam właśnie skierował się

Conan, umyślnie zwalniając kroku, aby dziewczyna mogła nadążyć. Spostrzegła, że od czasu do czasu obrzucał ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Dotarli do najdalej na północ wysuniętego krańca płaskowyżu i stanęli przed pionową, skalną ścianą. Od wschodu i zachodu drzewa niemal wchodziły na płaskowyż, gęsto porastając stok. Conan spojrzął na nie podejrzliwie i zaczął piąć się w górę, pomagając towarzysze. Zbocze było dość pochyłe i w dodatku usiane głazami, ale Cymmerianin i tak wspiałyby się na nie jak kot gdyby nie Oliwia, dla której nie było to takie łatwe. Raz po raz dziewczyna czuła, że silne ręce barbarzyńcy przenoszą ją nad przeszkodą, przebycie której pochłonęłoby jej wszystkie siły i z coraz większym podziwem patrzyła na towarzysza. Jego dotknięcie już nie napawało jej wstrętem; żelazny chwyt dawał poczucie bezpieczeństwa.

W końcu znaleźli się na samej górze. Wiejący od morza wietrzyk rozwiał im włosy. U ich stóp grań opadała trzystu-lub czterystustopową przepaścią ku wąskiemu pasmu rosnących na brzegu drzew. Patrząc na południe ujrzeni całą wyspę rozpościerającą się niczym wielkie, owalne lustro o skośnie ściętych krawędziach opadających ku pierścieniowi zieleni. Jak okiem sięgnąć ze wszystkich stron otaczały ich błękitne wody, spokojne i łagodne, niknące w mglistej dali.

- Morze jest spokojne - westchnęła Oliwia. - Czemu nie mielibyśmy popłynąć dalej?

Conan, stojący nad urwiskiem niczym posąg z brązu, wskazał palcem na północ. Wyteżywszy wzrok, Oliwia dostrzegła biały obłoczek, który zdawał się wisieć nieruchomo w bladej mgiełce.

- Co to?

- Żagiel.

- Hyrkańczycy?

- Kto to wie? Z tej odległości trudno powiedzieć.

- Rzuca tu kotwicę? Przeszukają wyspę...! - krzyknęła w przyływie przerażenia.

- Wątpię. Płyną z północy, więc nie mogą nic o nas wiedzieć. Być może zatrzymają się tu z jakiegoś powodu i będziemy musieli się ukryć najlepiej jak umiemy. Jednak myślę, że to piracka lub hyrkańska galera powracająca z wyprawy. W takim wypadku raczej się tu nie zatrzymają. Nie możemy wypłynąć w morze dopóki nie znikną nam z oczu, bo przyplływają z tego kierunku, w jakim zamierzamy się udać. Z pewnością miną wyspę w nocy i o świcie będziemy mogli wyruszyć w drogę.

- A więc mamy tu spędzić noc? - powiedziała z trwogą.

- Tak będzie bezpieczniej.

- Zatem śpijmy tu, wśród skał - nalegała.

Potrząsnął głową, patrząc na karłowate drzewka i rozciągający się w dole gąszcz zieleni, zdającej się wyciągać liściaste macki ku urwistemu zboczu.

- Tu jest zbyt wiele drzew. Będziemy spać w ruinach. Dziewczyna wydała okrzyk protestu.

- Nikt nas tam nie będzie niepokoił - uspokajał ją Conan. - Ktokolwiek rzucił w nas tym głazem, nie poszedł za nami, kiedy wyszliśmy z lasu. Nie zauważyłem też żadnych śladów, które by świadczyły, że w ruinach kryją się jakieś dzikie bestie. Ponadto masz delikatną skórę i jesteś przyzwyczajona spać pod dachem, wśród wygod. Ja mógłbym równie dobrze spać nago na śniegu, ale ty rozchorowałabyś się od zimna, gdybyś musiała spędzić noc pod gołym niebem.

Oliwia przystała na to niechętnie. W milczeniu zeszli na dół, przeszli przez płaskowyż i znów zbliżyli się do ponurych, stoczonych przez czas ruin. Słońce niknęło już za krawędzią płaskowyżu. Na pobliskich drzewach znaleźli owoce, które stały się ich posiłkiem, służąc za jedzenie i picie.

Południowa noc zapadła bardzo szybko, zapełniając granatowe niebo białymi gwiazdami. Conan wszedł w ruiny ciągnąc za sobą niechętnie idącą dziewczynę. Oliwia drżała patrząc na czarne sylwetki stojące nieruchomo między kolumnami. W ciemnościach ledwie rozjaśnianych nikłym blaskiem gwiazd nie mogła dostrzec ich twarzy, jednak wyczuwała ich oczekiwanie - oczekiwanie trwające od niezliczonych stuleci.

Conan przyniósł wielkie naręcze pokrytych gęsto liśćmi gałęzi. Rzucił je na stos tworząc wygodne posłanie dla Oliwii. Położyła się na nim z uczuciem, że kładzie się na spoczynek w kłębowisku zmij.

Cymmerianin nie podzielał jej obaw. Siadł obok opierając się plecami o filar i kładąc na kolanach obnażony miecz. Oczy barbarzyńcy błyszczały w mroku jak tygrysie ślepie.

- Śpij, dziewczyno - rzekł. - Ja śpię czujnie jak wilk. Nikt nie zdoła tu wejść tak, żeby mnie nie obudzić.

Oliwia nie odpowiedziała. Ze swego posłania obserwowała ukradkiem nieruchomą postać towarzysza, niewyraźnie majaczącą w mroku.

Jakie to dziwne, podróżować z barbarzyńcą; być pod opieką i ochroną jednego z tych ludzi, którymi straszono ją w dzieciństwie!

Należał do dzikiego ludu, posępnego i tajemniczego. Każdy jego ruch zdradzał pokrewieństwo z dziczą; w posępnych oczach tlił się płomyk szaleństwa. A jednak nie zrobił jej krzywdy, podczas gdy jej najgorszym ciemieżcą okazał się człowiek powszechnie uważany za cywilizowanego. Ogarnęło ją rozkoszne znużenie; wyciągnęła się wygodnie i zapadając w miękką otchłań snu pomyślała jeszcze o silnych rękach Cymmerianina obejmujących jej smukłe ramiona.

Oliwia spała. We śnie czuła czające się wokół zło, pełzające bezszelestnie niczym żmija wśród różanych krzewów. Strzępy snu składały się na jakąś dziwną, egzotyczną całość, aż wreszcie wykrystalizowały się w przerażającą scenę rozgrywającą się wśród cyklopowych murów i kolumn.

Ujrzała wielką salę, której wyniosły strop podtrzymywały rzędy kamiennych kolumn ciągnących się równymi szeregami wzdłuż ścian. Wśród tych kolumn z trzepotem przelatywały szkarłatno-zielone papugi i tłoczyli się czarnoskórzy wojownicy o orlich rysach. Nie byli Negrami; ani ich twarze, ani szaty czy broń nie przypominały niczego spotykanego na tym świecie.

Cisnęli się wokół kogoś przywiązanego do filara; szczupłego młodzieńca o jasnej skórze i z chmurą złotych loków spadających na alabastrowe czoło. Jego uroda także nie była urodą człowieka - przypominał raczej wyrzeźbionego w marmurze i ożywionego boga.

Czarni wojownicy drwili i szydzili z niego w swym dziwnym języku. Jego gibkie, nagie ciało przeżyło się pod okrutnymi ciosami. Krew ciekła po białych udach i przyskała na gładką posadzkę. Sala rozbrzmiewała krzykami ofiary; nagle złotowłosa podniósł głowę ku niebu i krzyknął coś przeraźliwie. Cios sztyletu zamknął mu usta, jasna głowa opadła na piersi.

Jakby w odpowiedzi na ten rozpaczliwy okrzyk rozległ się grzmot kół niebiańskiego rydwanu i przed mordercami zmaterializowała się nowa postać. Przybysz był mężczyzną, jednak jego twarz była tak nieludzko piękna, że nie mogła należeć do śmiertelnika. Jego rysy zdradzały wyraźne podobieństwo do twarzy młodzieńca, który bez życia wisiał w więzach, jednak brakowało mu odrobiny człowieczeństwa łagodzącej nieruchome piękno boskiego oblicza. Czarni cofnęli się przed nim ze zgrozą. Przybysz podniósł dłoń i przemówił; głęboki, melodyjny głos odbił się echem wśród milczących kolumn. Czarni wojownicy cofali się przed nim jak w transie, aż stanęli w równych szeregach pod ścianami. Wtedy z ust mściciela wydobył się straszliwy przyśpiew i rozkaz:

- "Yagkoolan yok, tha, xuthalla!"

Pod uderzeniem tego okropnego zaklęcia czarne postacie zeszywniały i zastygły. Ich ciała zamarły w dziwnych pozach i skamieniały. Przybysz chwycił bezwładne ciało młodzieńca i natychmiast pętające je łańcuchy pękły z trzaskiem. Odszedł trzymając ciało w ramionach, lecz przedtem odwrócił się jeszcze raz i obrzuciwszy spojrzeniem rzędy nieruchomych, czarnych figur wskazał palcem błyszczący na niebie księżyc. A milczące, hebanowe posągi, które przed chwilą były żywymi ludźmi, zrozumiały...

Oliwia zbudziła się zrana zimnym potem i uniosła się na swoim posłaniu z gałęzi. Serce waliło jej jak młotem. Niespokojnie rozejrzała się wokół. Conan spał pod swoim filarem z głową opuszczoną na piersi. Przez dziury w ścianach i suficie sączył się srebrzysty blask księżyca; długie strzały jasnych promieni ślizgały się po zakurzonej posadzce. Dziewczyna widziała niewyraźne sylwetki posągów - czarnych, czekających w bezruchu. Walcząc z ogarniającym ją przerażeniem ujrzała, że blade światło sięga kolumn i stojących między nimi posągów.

Ale co to? Dostrzegła jakiś ruch w miejscu, gdzie padły promienie księżyca. Zesztywniała ze zgrozy, dojrzała oznaki życia tam, gdzie powinna być tylko martwota kamienia; lekkie drżenie, kurczenie się i prostowanie hebanowych kończyn...

Oliwia krzyknęła przeraźliwie, budząc śpiącego barbarzyńcę. Conan zerwał się na równe nogi, błyskając wzniesionym do ciosu mieczem.

- Posągi! Posągi! O mój Boże, one ożyły! – wybełkotała dziewczyna i skoczywszy do wyrwy w ścianie przedarła się przez zarastające otwór pnącza i wypadła na zewnątrz. Biegła na oślep przed siebie, dopóki nie zatrzymała jej silna dłoń zaciskająca się na jej ramieniu. Oliwia wrzasnęła okropnie i zaczęła się rozpaczliwie szamotać, dopóki uspokajający głos barbarzyńcy nie przedarł się przez opary odbierającego zmysły przerażenia. Conan spoglądał na nią z bezgranicznym zdziwieniem.

- Na Croma, co się z tobą dzieje? - zapytał. – Miałaś zły sen?

Jego głos zdał się jej nierzeczywisty i daleki. Ze szlochem zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła doń kurczowo, łkając rozpaczliwie.

- Gdzie oni są? Nie gonią nas? - spytała gorączkowo.

- Nikt nas nie gonił - odparł barbarzyńca. Dziewczyna rozejrzała się lękliwie, nie puszczając jego szyi. Uciekając na oślep, zapędziła się aż na południowy kraniec płaskowyżu. Nieco dalej zbocze stromo opadało w dół, w gęsty mrok porastającego brzeg lasu. Daleko w tyle wznosiły się ruiny starożytnej budowli, widoczne na tle księżyca jako czarna bryła.

- Nie widziałeś ich? To posągi... one ożyły; ruszały rękami, błyskały oczyma w ciemnościach...

- Niczego nie zauważyłem - odparł niechętnie Cymmerianin. - Spałem mocniej niż zwykle, ponieważ już od dawna nie przespałem całej nocy, ale nie sądzę, żeby ktoś zdołał wejść do środka tak, żeby mnie nie zbudzić.

- Nikt nie wszedł - roześmiała się, bliska hysterii. - Oni już tam byli. O Mitro, położyliśmy się tam spać jak owce w wilczej jamie!

- O czym ty mówisz? - spytał Cymmerianin. – Zbudził mnie twój krzyk i zanim zdążyłem się rozejrzeć, zobaczyłem, jak wybiegasz na zewnątrz. Pobiegłem za tobą, żebyś sobie nie zrobiła krzywdy. Pomyślałem, że miałaś zły sen.

- Miałam! - odrzekła z drżeniem. - Jednak rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Posłuchaj!

I opowiedziała mu wszystko, co jej się śniło.

Conan słuchał jej z uwagą. Obcy był mu naturalny sceptycyzm cywilizowanych ludzi. Jego lud wierzył w upiory, gobliny i czarnoksiężników. Kiedy Oliwia skończyła, przez chwilę siedział w zadumie, bawiąc się swoim mieczem.

- Mówisz, że młodzieniec, którego torturowali był podobny do tego drugiego mężczyzny? - spytał w

końcu.

- Jak syn do ojca - odparła i dodała po namyśle: - Gdyby wyobrazić sobie istotę łączącą w sobie cechy człowieka i boga, to otrzymalibyśmy kogoś podobnego do tego młodzieńca. Dawni bogowie czasem łączyli się ze śmiertelnikami; tak głoszą nasze legendy.

- Jacy bogowie?

- Dziś już zapomniani. Kto o nich pamięta? Wrócili w cichą toń jezior, w spokój wnętrza gór, w bezkresne, międzygwiazdne otchłanie. Bogowie przemijają tak samo jak ludzie.

- Jednak jeśli to byli ludzie zmienieni w posągi mocą zaklęcia jakiegoś bóstwa czy demona, to dlaczego ożyli?

- Dzięki czarodziejskiej mocy księżycy - odparła dziewczyna. - Odchodząc, wskazał palcem na księżyc; kiedy jego blask pada na posągi, wojownicy odzyskują dawną postać. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Jednak nikt nas nie gonił - mruknął Conan, patrząc w kierunku ruin. - Może to tylko ci się śniło. Mam ochotę wrócić i sprawdzić.

- Och nie, nie! - krzyknęła, obejmując go kurczowo. - Może zaklęcie nie pozwala im opuszczać budowli. Nie wracaj tam! Rozedrą cię na strzępy! Och, Conanie, wracajmy do łodzi i uciekajmy z tej strasznej wyspy! Hyrkańczycy już na pewno popłynęli dalej. Chodźmy!

Jej rozpaczliwe błagania zrobiły wrażenie na barbarzyńcy. Przesadny lęk walczył w nim o lepsze z ciekawością, każącą sprawdzić słowa dziewczyny. Nie obawiał się żywych wrogów, choćby i w znacznej przewadze liczebnej, ale nadnaturalne zjawiska zawsze wzbudzały w nim nieokreślony lęk będący dziedzictwem barbarzyńskiej rasy.

Wziął dziewczynę za rękę i zszedłszy po stoku zagłębił się w gęsty las pełen cichego szelestu liści i szczebiotu niewidocznych ptaków. Pod drzewami zalegał gęsty mrok i Conan starał się trzymać jaśniejszych miejsc. Idąc, nieustannie wodził wokół spojrzeniem, często zerkając w górę, na korony drzew. Szedł szybko lecz czujnie, tak silnie obejmując talię dziewczyny, że zdawało się jej, iż raczej ją niesie niż prowadzi. Nie padło ani jedno słowo. Jedynym dźwiękiem był przyspieszony oddech dziewczyny i szmer jej drobnych stóp w wysokiej trawie. Tak przeszli przez las i wyszli na brzeg morza, lśniącego w promieniach księżycy niczym topione srebro.

- Powinniśmy zabrać trochę owoców - mruknął Cymmerianin - ale na pewno trafimy na inne wyspy. Równie dobrze możemy odpłynąć teraz; do świtu mamy jeszcze kilka godzin...

Urwał nagle. Cuma wciąż była przywiązana do sterczącego głazu, ale na jej końcu zobaczyli tylko połamane i potrzaskane deski, na pół zanurzone w płytkiej wodzie.

Oliwia wydała zduszony okrzyk. Conan odwrócił się na pięcie i przyczajony do skoku jak kot, wpatrywał się czujnie w mrok. Nocne ptaki umilkły nagle. Nad lasem zapadła głęboka cisza.

Nawet najlżejszy powiew wiatru nie poruszał gałęziami, a jednak gdzieś w pobliżu zaszeleściły liście.

Conan chwycił Oliwię w ramiona i pomknął jak błyskawica przez zarośla, ścigany dziwnym szelestem, który zdawał się wciąż przybliżać. Nagle wypadli na oblaną księżycową poświatą przestrzeń. Conan bez wahania wbiegł na stok i na płaskowyż. Tam postawił Oliwię na ziemi i odwróciwszy się spojrzał za siebie, w mrok lasu, który zostawili za sobą. Liście w dole zadrżały, jakby poruszone wiatrem - to wszystko. Z gniewnym pomrukiem Cymmerianin potrząsnął swą czarną grzywą. Oliwia tuliła się do niego jak wystraszone dziecko. W jej oczach czał się śmiertelny lęk.

- Co teraz zrobimy, Conanie? - szepnęła. Spojrzał na ruiny i na las otaczający płaskowyż.

- Pójdziemy między skały - rzekł, stawiając ją na nogi - a jutro zbudujemy tratwę i znów wyruszymy na morze.

- Przecież to nie oni zniszczyli naszą łódź? - spytała niepewnie dziewczyna.

Conan w milczeniu potrząsnął głową.

Z każdym krokiem przerażenie Oliwii rosło, ale żadna czarna postać nie wyłoniła się z ruin i w końcu dotarli do skał, które ponuro i majestatycznie wznosiły się ku niebu. Conan przystanął tam i po krótkim wahaniu wybrał miejsce osłonięte wielkim głazem i dość odległe od pierwszych większych drzew.

- Połóż się i śpij, jeśli możesz - powiedział. - Ja stanę na straży.

Jednak dziewczyna nie mogła zasnąć; leżała patrząc na odległe ruiny i czarny skraj lasu, aż gwiazdy zbladły, niebo na wschodzie poszarzało i złoty świt skrzesał barwne iskry w kroplach rosy na trawie. Wtedy podniosła zeszywniałe ciało i wróciła myślą do wydarzeń minionej nocy. W rannym świetle wszystko to zdało jej się tworem wybujałej wyobraźni. Conan podszedł do niej i powiedział coś, co nią wstrząsnęło.

- Tuż przed świtem usłyszałem skrzypienie dulek i plusk wiosła. Jakiś statek rzucił kotwicę w zatoczce, niedaleko stąd... myślę, że to ten, który wczoraj widzieliśmy. Wejźmy na skały i sprawdźmy to.

Wdrapali się na górę i leżąc na brzuchu wśród głazów ujrzeli wysoki maszt sterczący nad drzewami, na zachodnim brzegu.

- Sądząc po ozagłowaniu - mruknął Cymmerianin - to hyrkańska galera. Zastanawiam się czy załoga...

Wtem usłyszeli gwar ludzkich głosów; patrząc w kierunku zadrzewionego krańca płaskowyżu dostrzegli barwny tłum wyłaniający się z gęstwiny. Przybyli zatrzymali się, najwidoczniej po to, żeby się naradzić. Było tam wiele wymachiwania rękami, łapania za broń i głośnych przekleństw. Wreszcie cała banda ruszyła przez płaskowyż w kierunku budowli. Conan natychmiast zauważył, że przybysze będą musieli przejść obok skał.

- Piraci! - rzekł z ponurym uśmiechem na ustach. - Zdobyli hyrkańską galeryę. Chodź tu! Ukryjesz się wśród skał. I nie pokazuj się dopóki cię nie zawołam - nakazał, posadziwszy dziewczynę wśród głazów na szczycie urwiska. – Mam zamiar pogadać z tymi psami. Jeśli mój plan się powiedzie, wszystko będzie dobrze i odpłyniemy razem z nimi. Jeżeli mi się nie uda... ukryjesz się tutaj dopóki nie odpłyną, bo żadne demony nie są tak okrutne jak ci morscy zbójce.

Oswobodziwszy się z jej kurczowego uścisku, szybko zszedł na dół. Lękliwie wyglądając ze swojej kryjówki Oliwia zobaczyła, że piracka zgraja zbliża się do stóp urwiska. W tejże chwili Conan wyłonił się spomiędzy głazów i stanął przed nimi z obnażonym mieczem w dłoni. Zdumieni piraci wydali groźny okrzyk, po czym stanęli, niepewnie spoglądając na postać, która tak niespodziewanie wyskoczyła zza skał. Załoga galery składała się z blisko siedemdziesięciu ludzi, stanowiących przedziwną zbieraninę wszelkich narodowości: Kothyjczyków, Zamoran, Brythuńczyków, Korynthian, Shemitów. Ich twarze nosiły piętno występku; wielu nosiło ślady bata lub katowskiego żelaza. Karbowane uszy i nosy, ziejące pustką oczodoły, kikuty rąk - dowodnie świadczyły o tym, że wielu z nich zaznajomiło się z nim aż za dobrze. Większość z nich była półnaga, ale ta odzież, jaką nosili, zdradzała dawną świetność; szamerowane złotem kubraki, satynowe szarfy, jedwabne bryczesy i srebrne napierśniki, choć poszarpane i poplamione smołą, były godne szlachciców. Słońce lśniło na złotych kolczykach i wysadzanych klejnotami rękojeściach sztyletów. Przed tą cudaczną zgrają stanął gigantyczny Cymmerianin, mierząc ich zuchwałym spojrzeniem jasnych oczu jarzących się w zbrązowiałej twarzy, kontrastującej z pobladłymi twarzami piratów.

- Ktoś ty? - ryknęli.

- Conan Cymmerianin! - warknął w odpowiedzi. – Byłem wodzem Wolnych Towarzyszy. Chcę szukać szczęścia wśród Czerwonego Bractwa. Kto wami dowodzi?

- Ja, na Isztar! - ryknął ktoś gromko i na czoło bandy wysunęła się ogromna postać; nagi do pasa olbrzym w jedwabnych pantalonach i z szeroką, jedwabną szarfą opasującą wielkie brzuszysko. Na ogolonej głowie powiewał mu skąpy kosmyk włosów, a wąskie, zaciśnięte usta były okolone długimi, obwisłymi wąsami. Pirat miał na nogach zielone, shemickie ciżmy ze sterczącymi noskami, a w ręku dzierżył długi, prosty miecz.

Conan zmarszczył brwi.

- Na Croma, to Sergiusz z Khoroski!

- Tak, na Isztar! - huknął gigant, patrząc nań z nienawiścią. - Myślisz, że zapomniałem? Ha! Sergiusz nigdy nie wybacza zniewagi! Teraz powieszę cię za nogi i żywcem obedrę ze skóry. Brać go, chłopcy!

- Tak, spuść swoje psy, grubasie - prychnął Conan z gryzącą pogardą. - Zawsze byłeś tchórzem, ty kothyjski kundlu!

- Tchórzem? Ja? - na szerokiej twarzy pojawił się grymas wściekłości. - Broń się, psie z północy! Zaraz wypruję ci flaki!

Piraci natychmiast utworzyli krąg wokół obu przeciwników, dziko wywracając oczyma i szczerząc zęby z radości. Wysoko w górze ukryta między głazami Oliwia patrzyła na to z niepokojem, zaciskając pięści aż paznokcie wbijały się jej w ciało.

Walka rozpoczęła się bez zbędnych formalności: mimo ogromnej tuszy Sergiusz runął na przeciwnika jak burza. Klnąc wściekle przez zaciśnięte zęby, raz za razem wymierzał straszliwe ciosy. Conan walczył w milczeniu; tylko w zwężonych oczach jarzył mu się złowrogi ogień. Po chwili Kothyjczyk przestał kłać, aby oszczędzić oddech i w ciszy słysząc było jedynie szuranie depczących murawę stóp, szczęk stali i ciężkie dyszenie pirata. Miecze błyskały żywym ogniem w promieniach poranka, raz po raz unosząc się i opadając ze świstem. Wydawały się odbijać od siebie i znów ku sobie podążać, jak związane niewidocznymi pętami.

Sergiusz cofał się; tylko nadzwyczajna zręczność ratowała go przed szybkimi jak myśl atakami Cymmerianina. Nagle rozległ się głośniejszy szczęk, głuchy stuk i zduszony krzyk... Piraci wydali przeraźliwy ryk zawodu, gdy miecz Conana przeszył masywne ciało ich przywódcy. Ostrze wyszło między łopatkami Sergiusza i przez moment tkwiło tak, błyszcząc w słońcu; potem barbarzyńca wyrwał je z ciała przeciwnika. Szeroko rozłożywszy ramiona Sergiusz runął na ziemię i legł bez ruchu w rozszerzającej się kałuży krwi.

Conan odwrócił się do wytrzeszczających oczy piratów.

- No, psy! - wrzasnął. - Wysłałem waszego wodza do piekła, a co o tym mówi prawo Czerwonego Bractwa?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, kryjący się za plecami innych Brythuńczyk o szczurzej twarzy błyskawicznie posłużył się swoją procą. Kamień śmignął w powietrzu i sięgnął celu; Conan zatoczył się i runął jak dąb pod toporem drwala. Oliwia kurczowo chwyciła się głazu. Świat zawirował jej w oczach; widziała tylko bezwładnie leżącego na murawie Cymmerianina i krew sączącą się z jego rozbitej głowy.

Pirat o szczurzej twarzy z okrzykiem triumfu skoczył, by dobić nieprzytomną ofiarę, ale chudy Korynthianin odepchnął go w porę.

- Cóż to, Aratusie, chcesz złamać prawa Bractwa, psie!

- Nie łamię żadnego prawa! - warknął Brythuńczyk.

- Nie? Ty psie, człowiek, którego ogłuszyłeś jest wedle prawa naszym kapitanem!

- Nic podobnego! - wrzasnął Aratus. - On nie należał do naszej bandy, był obcy. Nie przyjęliśmy go do Bractwa. Zabijając Sergiusza wcale nie stał się naszym kapitanem, tak jak stałby się nim ten z nas, który zdołałby tego dokonać.

- Jednak chciał do nas przystać - odparł Kothyjczyk. - Tak powiedział.

Podniosła się wrzawa; jedni wzięli stronę Aratusa, inni Korynthianina, na którego wołali Ivanos. W powietrzu gęsto przelatywały wyzwiska i przekleństwa; ręce szukały rękojeści sztyletów.

W końcu przez zgiełk przedarł się gromki głos Shemity:

- Po co klócić się o trupa?

- On żyje - odparł Korynthianin, pochyliwszy się nad ciałem barbarzyńcy. - Kamień ześliznął mu się po czaszce; jest tylko nieprzytomny.

Słyszając to piraci znów zaczęli się spierać. Aratus nada! chciał dobić rannego, ale Ivanos stanął nad Cymmerianinem z mieczem w rękę, broniąc go przed wszystkimi razem i każdym z osobna. Oliwia czuła, że Korynthianin nie tyle przejmuje się losem Conana, ile korzysta z okazji, by przeciwstawić się Aratusowi. Najwidoczniej obaj byli kandydatami na miejsce Sergiusza i nie przepadali za sobą. Po długich debatach postanowiono związać Conana i zabrać go ze sobą, żeby później przez głosowanie zdecydować o jego losie.

Odzyskującego przytomność Cymmerianina związano rzemieniami, po czym podniesiono z ziemi i ułożono na ramionach czterech klnących piratów. Banda poszła dalej, zostawiając za sobą trupa Sergiusza; nieruchomy, czarny kształt na skąpanej w słońcu równinie.

Oliwia leżała wśród skał przytłoczona ogromem nieszczęścia. Nie była w stanie niczego przedsięwziąć, niczego zrobić, mogła tylko leżeć i patrzeć z przerażeniem, jak banda złoczyńców wprowadza jej obrońcę.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tak leżała. Wreszcie zobaczyła, że piraci dotarli do ruin na drugim końcu płaskowyżu i weszli do środka, wlokąc za sobą jeńca. Widziała, jak kręcą się tu i tam, wyglądają przez okna, rozrzucają sterty gruzu i gramolą się na mury. Po chwili kilku wróciło drogą, którą przyszli; ci zniknęli wśród drzew na zachodnim brzegu ciągnąc za sobą zwłoki Sergiusza; zapewne po to, aby pochować go w morzu. Inni ścinałi drzewa rosnące w pobliżu ruin i znosili chrust na ognisko. Oliwia słyszała ich dalekie, niewyraźne okrzyki i powracające echem głosy tych, którzy weszli do lasu. Niebawem i oni wyłonili się spośród drzew, niosąc beczułki z winem i skórzane sakwy z prowiantem. Klnąc wściekle i uginając się pod ciężarem, wrócili do kompanów w ruinach.

Oliwia niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Była bliska omdlenia od nadmiaru wrażeń. Sama i bezbronna, dopiero teraz zrozumiała, ile znaczyła dla niej opieka Conana. Poczowała przelotne zdumienie na myśl o kaprysie losu, który uczynił córkę króla towarzyszką dzikiego barbarzyńcy, jednak uczucie to zaraz zastąpił wstyd. Zarówno jej ojciec jak i Szach Amurat byli cywilizowanymi ludźmi, a ileż wyrządzili jej złego! Nigdy nie spotkała cywilizowanego człowieka, który traktowałby ją uprzejmie bez jakichś ukrytych powodów; tymczasem Cymmerianin bronił jej i opiekował się nią - i do tej pory niczego w zamian nie żądał. Schowawszy twarz w dłoniach Oliwia płakała, dopóki głośnie śmiechy i wrzaski nie uświadomiły jej zagrażającego niebezpieczeństwa.

Obrzuciła spojrzeniem czarne mury, wokół których chwiejnie krążyły ciemne sylwetki, i mroczną ścianę gęstego lasu. Nawet jeżeli wydarzenia minionej nocy były tylko snem, niebezpieczeństwo kryjące się w gęstwinie nie było koszmarnym majakiem. Jeżeli piraci zabiją lub zabiorą ze sobą Conana, będzie musiała wybierać między oddaniem się w ich ręce a pozostaniem na tej okropnej wyspie.

W pełni pojawiający grozę sytuacji, Oliwia bez zmysłów osunęła się na murawę.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy odzyskała przytomność. Słaby wietrzyk przyniósł jej dzikie wrzaski i strzępki sprośnej piosenki. Podniósłszy się ostrożnie na czworaki, spojrzała na płaskowyż. Ujrzała piratów zgromadzonych wokół wielkiego ogniska przy ruinach i serce podeszło jej do gardła, gdy z wnętrza budowli wyłoniła się kilkusobowa grupka niosąc kogoś, kto musiał być jej towarzyszem podróży. Posadzili Cymmerianina pod ścianą - widocznie nadal był mocno związany - i znów zaczęła się długa dysputa połączona z wymachiwaniem bronią. W końcu znów zanieśli go do środka i znowu przypięli się do beczek z trunkiem. Oliwia westchnęła z ulgą; teraz przynajmniej wiedziała, że barbarzyńca jeszcze żyje. Podjęła desperacką decyzję: kiedy zapadnie noc, zakradnie się w ruiny i uwolni go, albo sama zostanie złapana. Wiedziała, że jej decyzja nie wynikała z zimnego wyrachowania, lecz czegoś więcej. Z tą myślą opuściła kryjówkę, aby nazrywać trochę orzechów, które rosły tu i ówdzie w pobliżu. Przez cały dzień nic nie jadła. Łapczywie pochłaniając orzechy, z niepokojem uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Nerwowo rozejrzała się wokół, po czym, zdjęta trwogą, podczołgała się do północnej krawędzi urwiska i zerknęła na falujące w dole morze zieleni, szybko znikające w zapadającym zmroku. Niczego nie dojrzała; wydawało się niemożliwe, aby ktoś kryjący się w lesie zdołał ją wypatrzeć wśród skał. A jednak wyraźnie czuła na sobie spojrzenie czyichś oczu obserwujących ją bacznie z gęstwiny.

Chyłkiem wróciła do swej skalnej kryjówki i leżała tam patrząc na odległe ruiny, aż okrył je mrok nocy i tylko migotliwy blask ogniska, wokół którego skakały i pląsały chwiejnie czarne sylwetki, pozwalał je zlokalizować w ciemnościach. Nadszedł czas, by spróbować. Dziewczyna wstała. Najpierw podkrađła się do północnej krawędzi płaskowyżu i jeszcze raz spojrzała na las porastający brzeg wyspy. Wytężywszy wzrok, w nikłym świetle gwiazd dojrzała coś, co sprawiło, że zeszywniała nagle i poczuła lodowaty dreszcz strachu przebiegający po plecach.

W dole coś się poruszało. Zdawało się, że z oceanu mroku wynurzył się czarny cień i wolno piął się w górę - niewyraźny i bezkształtny. Lęk ścisnął ją za gardło i z trudem powstrzymywała cisnący się na wargi krzyk. Odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę, na południe.

Ucieczka po najeżonym głazami, stromym i śliskim zboczu była koszmarem. Oliwia potykała się i ślizgała, zeszywniałymi palcami czepiając się poszarpanych skał. Kalecząc dłonie i obijając się o ostre głazy, przez które Conan z taką łatwością ją przeniósł, raz jeszcze zdała sobie sprawę, jak jest uzależniona od olbrzymiego Cymmerianina. Jednak ta trzeźwa myśl była ledwie błyskiem w chmurze ogarniającego ją przerażenia.

Zdawało jej się, że biegnie tak całe wieki, ale w końcu poczuła pod nogami miękką trawę równiny; nie zwalniając kroku pomknęła w kierunku ogniska, pulsującego niczym szkarłatne serce nocy. Pędząc słyszała za sobą grzechot osypujących się po zboczu kamieni i ten dźwięk dodał jej skrzydeł. Obawiała się nawet myśleć, co mogło być jego przyczyną.

Długotrwały wysiłek sprawił, że zapomniała o przerażeniu i zanim dotarła w pobliże ruin odzyskała zdolność trzeźwego myślenia, mimo że trzęsa się ze zmęczenia. Opadła na murawę, podczołgała się do jednego z drzewek, które oszczędziły topory piratów, i spojrzała na obóz. Piraci skończyli już

wieczerzę, ale nadal pili wino, czerpiąc je z otwartych beczulek cynowymi kubkami lub wysadzanych klejnotami pucharami. Niektórzy już chrapali na trawie, zmożeni pijackim snem; inni chwiejnie krążyli wokół. Nigdzie nie dostrzegła Cymmerianina. Leżała czekając, podczas gdy wieczorna rosa posrebrzyła murawę i liście drzew, a mężczyźni przy ognisku klęli, grali w kości i kłócili się. Niewielu ich zostało przy ogniu; reszta spała w ruinach.

Oliwia czekała z nerwami napiętymi jak postronki i zimny dreszcz przebiegał jej po krzyżu na myśl o tym, że stworzenie, które ją ścigało, mogło właśnie skradać się do niej w ciemnościach. Czas dłużył się jej okropnie. Piraci jeden po drugim zapadali w ciężki sen, aż wreszcie wszyscy legli nieprzytomni przy dogasającym ognisku.

Oliwia zawahała się - jednak ponagliła ją słaba poświata widoczna przez gałęzie drzew. Wschodził księżyc.

Podniosła się i ruszyła ku ruinom. Z duszą na ramieniu, przeszła na palcach między pijanymi, leżącymi przy ziejącym czernią portalu. Wewnątrz było ich znacznie więcej; przewracali się i mamrotali coś przez sen, ale żaden nie obudził się, gdy cicho wśliznęła się do środka. Zobaczyła Cymmerianina i serce zabiło jej mocniej z radości.

Przywiązany do jednej z kolumn Conan był zupełnie przytomny; jego oczy błyszczały w słabym świetle dogasającego na zewnątrz ogniska.

Uważnie omijając śpiących, Oliwia podeszła do niego. Mimo że szła cicho jak duch, barbarzyńca usłyszał ją; dostrzegł ją, gdy tylko pojawiła się w przejściu. Na jego zaciśniętych wargach pojawił się słaby uśmiech.

Dziewczyna dotarła do niego i objęła go ramionami. Czuł szybkie bicie jej serca przy swoim sercu. Przez szeroką wyrwę w murze wpadł promień księżyca i natychmiast w sali powiało jakąś nieuchwytną grozą. Conan wyczuł to i zeszywniał nagle. Oliwia także to wyczuła; jej pierś falowała w szybkim oddechu; jednak śpiący piraci chrapali głośno. Pochyliwszy się, Oliwia wyjęła sztylet zza pasa nieprzytomnego właściciela i zabrała się za przecinanie więzów towarzysza. Był związany grubą i mocną liną, omotaną ze zrećnością właściwą żeglarzom. Dziewczyna piłowała zawzięcie, podczas gdy blask księżyca wolno pełził po posadzce ku stojącym między filarami, nieruchomym posągom.

Oliwia dyszała ciężko; zdołała już uwolnić przeguby Cymmerianina, ale pozostały jeszcze pęta na ramionach i nogach. Obrzuciła spojrzeniem posągi pod ścianami - stojące i czekające. Zdawały się spoglądać na nią ze straszliwym rozmysłem. Pijani piraci wiercili się i bełkotali przez sen. Księżycowy blask zalał salę, dotknął żelaznych figur. Oliwii udało się w końcu uwolnić ręce Conana. Wziął od niej sztylet i jednym szybkim ruchem przeciął więzy na nogach. Zrobił krok i stanął rozcierając nadgarstki, ze stoickim spokojem znosząc ból wzrastającego krążenia. Oliwia przycupnęła przy nim, trzęsąc się jak osika. Czy to tylko księżyc odbijał się w oczach czarnych posągów, każąc im tak złowrogo błyszczeć w ciemnościach?

Conan skoczył cicho i zwinnie jak dziki kot. Porwał swój miecz ze sterty leżącego w pobliżu oręża, chwycił Oliwię w ramiona i prześliznął się przez wyrwę w porośniętej bluszczem ścianie. Nie padło

ani jedno słowo. Niosąc dziewczynę w ramionach ruszył spieszenie przez skąpany w blasku księżyca płaskowyż. Dziewczyna zamknęła oczy i mocno objęła go rękami za szyję, wtulając kędzierzawą głowę w jego masywną pierś. Ogarnęło ją błogie uczucie bezpieczeństwa.

Mimo ciężaru Cymmerianin szybko przeszedł przez równinę i gdy Oliwia otworzyła oczy, zobaczyła, że już znaleźli się w cieniu skał.

- Coś wspinało się po urwisku - szepnęła. - Słyszałam, jak za mną szło...

- Musimy zaryzykować - mruknął.

- Nie boję się... teraz - dodała.

- Nie bałaś się też, kiedy przysłaś mnie uwolnić - rzekł. Na Croma, co za dzień! Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego handryczenia się i targów. Prawie ogluchłem. Aratus chciał mi poderznąć gardło, a Ivanos, który go nienawidzi, nie pozwolił na to. Przez cały dzień warczeli i pluli na siebie, aż wszyscy się upili i nie byli w stanie opowiedzieć się po czyjejkolwiek stronie...

Conan urwał nagle i stanął jak wryty, niczym posąg z brązu. Szybkim ruchem postawił dziewczynę na ziemi i zasłonił ją sobą. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała i wrzasnęła przeraźliwie.

Z cienia zalegającego u stóp urwiska wyłonił się ogromny, niezgrabny cień - człekokształtny stwór, groteskowy wybryk natury.

W ogólnych zarysach przypominał człowieka, jednak blade światło księżyca ukazywało zwierzęce rysy, blisko osadzone oczy, sterczące uszy i wielkie, obwisłe wargi, spomiędzy których wystawały długie, białe kły. Stwór miał zmierzwiłone, srebrzystoszare futro i niezgrabne, zwisające niemal do samej ziemi, przednie łapy. Był ogromny; stojąc na krótkich, krzywych nogach o dwie głowy przewyższał Cymmerianina; jego łapska przypominały dwa sękaty pnie, a szerokość masywnej piersi i barów zapierała dech w piersi.

Oliwii świat zawirował w oczach. Oto koniec wszystkiego, pomyślała, bo jakież człowiek zdołałby stawić czoła tej górze mięśni? Jednak patrząc szeroko otwartymi z przerażenia oczyma na muskularną postać Cymmerianina stojącego między nią a potworem, dostrzegła pewne zatrwające podobieństwo. Zdawało się, że nie było to spotkanie człowieka z bestią, ale dwóch dzikich stworzeń, równie gwałtownych i bezlitosnych. Szczercząc kły, potwór runął do ataku.

Szeroko rozłożywszy straszliwe ramiona, skoczył na barbarzyńcę z niewiarygodną wprost szybkością jak na stworzenie o tak wielkim cielsku i krzywych nogach.

Conan zareagował błyskawicznym odskokiem, tak szybkim, że Oliwia nie była w stanie pochwycić go okiem. Zauważyła tylko, że uniknął ciosu łapą, a jego miecz błysnął w świetle księżyca i opadł, odcinając jedno z sękatych ramion między barkiem a łokciem. Trysnęła fontanna posoki i odrąbana kończyna upadła na murawę, lecz w tejże chwili bestia chwyciła Conana za włosy drugą łapą.

Tylko stalowe mięśnie uratowały Cymmerianinowi życie. Lewą ręką złapał potwora za gardło, a kolanem zaparł się o jego brzuch. Straszliwe zmagania trwały ledwie kilka sekund, ale

sparaliżowanej ze strachu dziewczynie zdawały się wiecznością.

Małpolud trzymał Conana za włosy, przyciągając jego głowę ku swej paszczy, pełnej ostrych kłów. Cymmerianin odpychał się lewą ręką, a trzymanym w prawej mieczem jak sztyletem raz po raz uderzał w pierś i brzuch przeciwnika. Bestia znosiła to w straszliwym milczeniu. Wydawało się, że upływ tryskającej ze strasznych ran krwi wcale jej nie osłabił. Nadludzka siła małpoluda wolno pokonywała opór barbarzyńcy. Głowa Conana powoli lecz nieuchronnie była przyciągana do rozdziawionej paszczy potwora. Barbarzyńca roziskrzonymi oczyma wpatrywał się w nabiegłe krwią ślepie. Wbity głęboko miecz uwiązał we włochatym cielsku i Cymmerianin daremnie próbował go wyrwać. Ociekające śliną szczęki kłapnęły o cal od jego twarzy i nagle bestia padła na murawę, miotana konwulsyjnymi skurczami.

Półprzytomna Oliwia zobaczyła, jak małpolud dziwnie ludzkim gestem usiłuje wyszarpnąć wbity w pierś miecz. Po krótkiej chwili, która dziewczynie wydawała się wiekiem, ogromne cielsko zadrżało po raz ostatni i zeszywniało.

Conan podniósł się z ziemi i pokuśtykał do trupa. Dyszał ciężko i szedł jak człowiek, którego łamano kołem. Pomacał swoją okrwawioną czuprynę i zaklął widząc pasma długich, czarnych włosów wciąż zaciśnięte w owłosionej łapie potwora.

- Na Croma! - wysapał. - Czuję się jak z krzyża zdjęty! Wolałbym walczyć z tuzinem ludzi. Jeszcze moment, a byłby mi odgryzł głowę! Niech go diabli, wyrwał mi całą garść włosów!

Chwyciwszy oburącz rękojeść miecza wyszarpnął go z ciała bestii. Oliwia podeszła bliżej i chwyciwszy go za rękę, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na powalonego potwora.

- Co... co to jest? - spytała drżącym głosem.

- Szara małpa - wyjaśnił Conan. - Paskudne stworzenie żywiące się ludzkim mięsem. Zamieszkuje wzgórza wznoszące się na wschodnim brzegu Morza Vilayet. Nie wiem, w jaki sposób dostała się na wyspę. Może przydryfowała na pniu wyrwanego przez burzę drzewa.

- I to ona rzuciła w nas głazem?

- Tak; podejrzewałem to już wtedy, gdy byliśmy w lesie i zobaczyłem kołyszące się gałęzie. Te stworzenia zawsze kryją się w największej gęstwinie i rzadko stamtąd wychodzą. Nie wiem, co wyгнаło ją na otwartą przestrzeń, ale mieliśmy szczęście, że tak się stało; wśród drzew nie miałbym żadnych szans.

- Ona mnie goniła - wzdrygnęła się Oliwia. - Widziałam, jak wspinała się po urwisku.

A potem instynktownie schowała się w cieniu, zamiast pójść za tobą na płaskowyż. Ten stwór lubi ciszę i samotność, nie znosi słońca i księżyca.

- Myślisz, że jest ich tu więcej?

- Nie, w przeciwnym razie zaatakowałyby piratów przechodzących przez las. Szare małpy, mimo że

tak silne, są bardzo ostrożne, o czym świadczy fakt, że ta nie zaatakowała nas w gąszczu. Jednak w końcu głód zmusił ją do zaryzykowania ataku na otwartej przestrzeni. Co..?

Conan drgnął i obróciwszy się na pięcie, spojrzał w stronę obozowiska piratów. Ciemności rozdarł przeraźliwy krzyk. Natychmiast odpowiedział mu chór wściekłych wrzasków, krzyków i jęków agonii. Mimo że wtórował im brzęk stali, dźwięki te nasuwały raczej myśl o masakrze niż bitwie. Conan stał ze zmarszczonymi brwiami, a przerażona dziewczyna przywarła doń kurczowo. Kiedy zgiełk bitwy zmienił się w ogłuszający ryk mordowanych, Cymmerianin odwrócił się i szybko ruszył ku krawędzi płaskowyżu i skąpanemu w blasku księżyca lasowi. Oliwii tak bardzo trzęsły się kolana, że nie była w stanie iść. Conan wziął ją na ręce i natychmiast poczuł, jak uspokaja się jej mocno bijące serce.

Przeszli przez mroczny gąszcz, w każdej chwili spodziewając się ataku, ale zarośla nie kryły nowego niebezpieczeństwa; nigdzie też nie dostrzegli śladu przeciwnika. Nocne ptaki szczebiotały sennie. Odgłosy rzezi z wolna cichły w dali. Gdzieś przeraźliwie wrzasnęła papuga, powtarzając niczym upiorne echo:

- Yagkoolan, yok tha, xuthalla!

W końcu dotarli do porośniętego drzewami brzegu i ujrzeli bielejące w świetle księżyca żagle zakotwiczonej w zatoczce galery.

Gwiazdy zaczęły blednąć, zapowiadając świt.

W szarym blasku poranka gromadka obszarpanych, zbryzganych krwią postaci wypadła z lasu na wąską plażę. Nie było ich wielu - resztki butnej, pirackiej załogi. Ciężko dysząc skoczyli do wody i zaczęli brnąć ku zbawczej burcie okrętu, gdy zatrzymał ich okrzyk z rufy.

Na tle jaśniejącego nieba ujrzeli olbrzymią postać z mieczem w dłoni i rozwianą na wietrze grzywą czarnych włosów.

- Stać! - usłyszeli. - Nie zbliżać się. Czego chcecie, psy?

- Pozwól nam wejść na pokład! - krzyknął zarośnięty łotr, trzymając się ręką za resztki ucha. - Odpłyniemy z tej diabelskiej wyspy!

- Rozwalę łeb pierwszemu, który spróbuje wejść na pokład - obiecał im Cymmerianin.

Wprawdzie piraci mieli miażdżącą przewagę liczebną, ale stracili chęć do walki. Conan był panem sytuacji.

- Pozwól nam wejść na pokład, dobry człowieku – jęknął Zamoranin w czerwonej przepasce na biodrach, oglądając się lękliwie przez ramię. - Zostaliśmy napadnięci znienacka i pobici; jesteśmy tak utrudzeni walką i ucieczką, że nie mamy już siły.

- Gdzie ten pies Aratus? - dopytywał się Conan.

- Martwy, tak jak wielu innych! Napadły na nas demony! Zanim się przebudziliśmy, rozszarpały tuzin naszych kamratów! Ruiny zaroily się ognistookimi widmami uzbrojonymi w kły i pazury!

- Tak! - dodał inny pirat. - To były demony, które przybrały postać posągów, by nas omamić. Na Isztar! Nocowaliśmy w jaskini lwów. Nie jesteśmy tchórzami. Walczyliśmy z nimi tak długo, jak długo zwykły śmiertelnik może opierać się mocom ciemności. Później uciekliśmy zostawiając im trupy naszych towarzyszy. Jednak z pewnością będą nas ścigać.

- Tak, daj nam wejść na statek! - wrzasnął chudy Shemita. - Pozwól nam wejść po dobroci, albo wdrzemy się siłą i choć jesteśmy tak znużeni, że bez wątpienia wielu nas zginie, to nie zdołasz zabić wszystkich.

- Wtedy wybiję dziurę w burcie i zatopię statek – odparł ponuro Cymmerianin i gromkim okrzykiem uciszył chóralny jęk, jakim piraci przyjęli jego słowa. - Psy! Czy mam pomagać wrogom? Mam was wpuścić na pokład, żebyście poderżnęli mi gardło?

- Nie, nie! - zapewniali pospiesznie. - Nie wrogów, lecz przyjaciół! Będziemy kompanami, Conanie! Razem popłyniemy na morze! Przecież wszyscy nienawidzimy króla Turanu!

Nie odrywali oczu od jego groźnie zmarszczonej, brązowej od słońca twarzy.

- A więc jednak należę do Bractwa - mruknął. - A skoro zabiłem waszego przywódcę w uczciwej walce, to zgodnie z prawem jestem teraz waszym kapitanem!

Nikt się nie sprzeciwił. Piraci byli zbyt przestraszeni i zgnębieni, aby myśleć o czymś innym niż o jak najszybszym opuszczeniu wyspy. Conan spojrział na Korynthianina.

- No co, Ivanos - zawołał. - Raz już stanąłeś w mojej obronie. Poprzesz mnie i teraz?

- Tak, na Mitrę! - zorientowawszy się w sytuacji pirat pragnął wkraść się w łaski nowego kapitana. - On ma rację, chłopcy! Według zwyczaju jest naszym kapitanem!

Odpowiedział mu chór potakiwań, może trochę pozbawionych entuzjazmu, lecz niewątpliwie szczerych, co gwarantował zielony gąszcz za ich plecami, z którego w każdej chwili mogły wypaść czarne demony o płonących ślepiach i ostrych pazurach.

- Przysięgnijcie na mieczach - zażądał Conan.

Las rękojeści wyciągnął się ku niemu wiernopoddańczym gestem i wielogłosy chór ślubował mu posłuszeństwo.

Cymmerianin uśmiechnął się i schował miecz do pochwy.

- Wchodźcie na pokład, dzielni żeglarze, i bierzcie się do wiosł!

Odwrócił się do skulonej za nadburciem Oliwii i postawił ją na nogi.

- A co ze mną, kapitanie? - spytała.

- A co byś chciała? - odparł, przypatrując jej się zwężonymi oczyma.

- Pójść z tobą, dokądkolwiek się udasz! - krzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję.

Gramolący się na burty piraci wybałuszyli oczy.

- Chcesz popłynąć na szlak krwi i rzezi? - zapytał. - Dokądkolwiek popłynie ten statek, zostawi na wodzie krwawy ślad.

- Tak - odrzekła z uczuciem. - Popłynę z tobą po wodach błękitnych czy krwawych. Ty jesteś barbarzyńcą, a ja wyrzutkiem bez domu i ojczyzny. Oboje jesteśmy pariasami, wiecznymi wędrowcami... Och, weź mnie ze sobą!

Conan wybuchnął śmiechem i przycisnął wargi do jej warg.

- Uczynię cię królową Morza Vilayet! Podnieście kotwicę, psy! Na Croma, zalejemy jeszcze Yildizowi sadła za skórę!

